

Polityczna edukacja - "Peerel po Cieszyńsku" odc.1

Data publikacji: 16.01.2011 14:40

Jerzy Ruksza. *Ma 70 lat. Zawodowo pracował jako konstruktor, kierował laboratorium doświadczalnym, był dziennikarzem. Jego pierwsza książka ukazała się w 1997 roku. Wydał m.in. Prowincjonalny socjalizm, Polityczna edukacja, Człowiek nie stela.*

Polityczna Edukacja – „Peerel po cieszyńsku” zajęła pierwsze miejsce w konkursie rozpisany przez Książnicę Cieszyńską pod patronatem Burmistrza Miasta Cieszyna i Starosty Powiatu Cieszyńskiego.

Zapraszamy do lektury pierwszego odcinka pamiętnika, z którego to dowiadujemy się m.in. tego, jakie emocje towarzyszyły wydaniu pierwszego numeru Głosu Ziemi Cieszyńskiej. Kolejne odcinki pamiętnika przeczytacie państwo co tydzień w niedzielę.

(Grzebiąc w szafach i szufladach w poszukiwaniu starych notatników, zadawałem sobie pytanie , czego ja się w ciągu tych lat nauczyłem?)

1 października 1955 roku.

Bardzo lubię soboty. W szkole jest mniej lekcji, wcześniej przychodzę do domu i mam więcej czasu dla siebie. Mogę go spędzać z kolegami na dworze, mogę majstrować, słuchać radia, pisać pamiętnik, czytać ciekawą książkę, nie udając, że jest ona lekturą szkolną, mogę nawet naprzykrzać się rodzicom, a mimo tego nie usłyszę pytania - *lekcje odrobione?*

W soboty nie ma również miejsca, znacznie poważniejsze przywoływanie mnie do porządku - np. pokaż zeszyt z matematyki, zobaczymy, co ty tam masz? Paradoks polega na tym, że matka od dawna, a od niedawna również ojciec, zupełnie nie orientują się w tym, czego nas uczą w szkole, ale oni biorą do ręki podręcznik i mają przed sobą odpowiedzi na pytania, zaś ja muszę umieć wszystko na pamięć.

Po takim trzepaniu, które najczęściej funduje mi ojciec, zawsze sobie przyrzekam, że ja tak swoich dzieci maltretować nie będę. Kiedy ojca nie ma w domu, to nieraz próbuję mamę zniechęcać do tych metod, tłumacząc jej, że przecież nauka powinna być nagrodą, a nie karą, ale jak na razie efekty są odwrotne od moich oczekiwań.

Dzisiaj wszakże jest ten najwspanialszy czas tygodnia, sobotnie popołudnie i mogę oddychać pełną piersią.

Ojciec przyniósł do domu gazetę, która ukazała się po raz pierwszy - „Głos Ziemi Cieszyńskiej”. Widziałem ją już w szkole. Jestem uczniem pierwszej klasy Technikum Mechaniczno-Elektrycznego przy Placu Kościelnym w Cieszynie. Nikt w naszej klasie, ani prasa, ani tym bardziej polityką specjalnie się nie interesuje, ale pierwsza cieszyńska gazeta wzbudziła ciekawość.

Reakcje były różne. Entuzjaści, do których ja się zaliczałem, z dumą podkreślali, że nie jesteśmy już „dziurą zabita deskami”, mamy swoją gazetę. Kilku kolegów starannie edukowanych, pouczyło nas, że przed wojnami było w Cieszynie sporo gazet, nawet kilka dzienników, co większość z nas uznała za wierutną bzdurę, zaś malkontenci stwierdzili jednoznacznie, że do chleba z drugim śniadaniem znacznie bardziej przydałoby się więcej kielbasy, niż gazet do jego pakowania.

Podobnego zdania była moja mama i pozostawała przy swoim pomimo, że ojciec przez dobre pół godziny przekonywał ją, jakim ewidentnym postępem jest wydawanie własnego, regionalnego pisma. Nie pomogło odwoływanie się do tradycji prasy cieszyńskiej, o czym był w „Głosie” artykuł, ani cytowanie informacji o wystawie rolniczej w Skoczowie, ani o pladze lisów przynoszącej niepowetowane straty w gospodarce naszego regionu.

Mama zdecydowanie obstawała przy swoim, mówiąc, że w domu najpierw trzeba naprawić dach, a dopiero potem urządzać salon. Właśnie wtedy tata sięgnął po chwyt, określany w sportowym słownictwie chwytem poniżej pasa. Otóż stwierdził, że lepiej byłoby, gdyby mama swoich poglądów nie wygłaszała przy mnie, bo jeszcze „lapnę” coś w

szkole i będą kłopoty.

Od samego początku tej dyskusji byłem po stronie taty, ale wobec takiego argumentu uznałem za konieczne, przynajmniej trochę wesprzeć mamę. Przede wszystkim przypomniałem, co tata wbijał mi do głowy, kiedy chodziłem do szkoły podstawowej tak zwanego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci i co również w Technikum każe mi traktować jako zasadę numer jeden - *w szkole mówi się to, czego uczą nas nauczyciele, a dyskutować można w domu, kiedy jesteśmy sami*. Powiedziałem, że właśnie to chcę zrobić.

W tej gazecie znalazłem artykuł o tym, jak Zakłady Wytwórcze Silników Elektrycznych M-2 w Cieszynie (obecnie Fabryka Maszyn Elektrycznych CEIMA) wspomagają wieś, a mianowicie robotnicy tej fabryki jeżdżą na wieś i „agitują” chłopów, by ci nie zalegali z obowiązkowymi dostawami zboża. - *Chłopi mają zboże i nie chcą go państwu sprzedawać?* — spytałem.

Ojciec zaniemówił.

- *Gdzie ty to znalazłeś?*

Pokazałem artykuł, a ojciec przeczytał go głośno, od tytułu aż do ostatniej kropki. Czytając fragmenty, które pasowały do jego poprzednich wywodów, zwalniał tempo, zawieszał głos, by te kwestie nie uszły naszej uwadze. W końcu stwierdził.

- *Oni nie tylko agitowali, oni również zorganizowali transport tego zboża do punktu skupu, gdyż chłopi ewidentnie nie mieli go czym do wieść. Poza tym na wieś jeżdżą brygady robotników, by pomagać w żniwach, w omłotach, przy zbiorze ziemniaków, buraków itd.*

Tego już zupełnie nie rozumiałem, czyżby mieliśmy za dużo robotników, a za mało chłopów, ponieważ nie nadążają oni z pracami rolnymi? Kiedy wyraziłem tę wątpliwość, mama parsknęła śmiechem i całkowicie usatysfakcjonowana finałem rozmowy, zagoniła nas do obiadu.

- *Wieś jest źle zorganizowana* - powiedział ojciec pomiędzy zupą, a drugim daniem.

Czekałem na resztę wypowiedzi do końca obiadu. Nie miałem wątpliwości, że nie ominie nas stosowny wykład, jednak nie przypuszczałem, że będzie on aż tak burzliwy. Ojciec zaczął spokojnym, narratorskim tonem.

- *Cieszyński region jest zdecydowanie rolniczy, może kiedyś będzie rolniczo-przemysłowy, ale na razie wyłącznie rolnictwo jest podstawą naszej egzystencji i wszyscy musimy mu pomagać. Jeżeli zboże, czy ziemniaki zmarzną się w polu, to my i cały kraj poniesiemy znacznie większą stratę, niż wówczas kiedy opóźni się produkcja jakiegoś silnika elektrycznego w Zakładach M-2. Taka jest naga prawda. Prawdą jest również, że tworzone na siłę Spółdzielnie Produkcyjne i Państwowe Gospodarstwa Rolne, nie działają jeszcze najlepiej. Jednak to właśnie do nich należy przyszłość. W przyszłości żaden rolnik indywidualny nie wytrzyma konkurencji z gospodarstwem kolektywnym. Pomyślcie logicznie. Ford uczynił samochód dostępnym nie tylko dla magnatów, ponieważ zaczął go produkować kolektywnie. Każdy robotnik wyspecjalizował się w jednej operacji. To samo będzie w nowoczesnym rolnictwie. Zanim jednak do tego przekona się wszystkich chłopów, to trochę wody w Olzie upłynie. Właśnie dlatego potrzebne są „Zakładowe ekipy łączności miasta ze wsią”. Muszą agitować i pomagać. Widzicie w tym coś głupiego? A podkreślę jeszcze raz, że Ekipy M-2 nie tylko agitowały, również naprawiły młockarnię, Dom Kultury M-2 zorganizował dla pięćdziesięciu kobiet w Dębowcu kurs kroju i szycia, działające przy M-2 kolo sportowe „STAL” wyposażyło drużynę piłki nożnej LZS-u w sprzęt sportowy. Wy naprawdę uważacie, że to jest niepotrzebne?*

Dostało nam się, ale mama spytała zaczepnie:

A ty naprawdę jesteś przekonany, że dzięki takiej pomocy nasze Spółdzielnie Produkcyjne i PGR-y zaczną pracować lepiej od gospodarstw indywidualnych?

- *Jedne zaczną, inne upadną, a potem powstaną jeszcze inne. Dzisiaj chłopi, rzemieślnicy i handlowcy bronią się przed kolektywizacją, bo władza im ją narzuca. Przed wojną sami usiłovali tworzyć spółdzielnie, by się bronić przed fabrykantami, obszarnikami, przed obcym kapitałem, a władza bynajmniej nie sprzyjała temu. Ta gazeta powinna dużo miejsca przeznaczać, na pokazywanie ludziom biedy, bezrobocia, niesprawiedliwości, od której ucieka moje pokolenie. Pewnie wówczas mój syn nie drwiłby sobie z pomocy Zakładów M-2 dla rolnictwa. W jednym tylko masz rację. Mamy 10 lat po wojnie i wszystko powinno już działać znacznie sprawniej, zarówno w rolnictwie jak i w przemyśle. Po prostu każdy powinien robić swoje...*

- *I za pieniądze, a nie za agitację* - dokończyła mama.

Ojciec aż poczerwieniał. Zarzucił mamie, że chce powrotu kapitalizmu, że nie rozumie istoty przemian społecznych, że już zapomniała, jak było, kiedy on nie miał pracy. Mówił głośno, nieomal krzyczał, a mama słuchała cierpliwie, nie przerywając mu. Kiedy skończył usadziła go jednym zdaniem.

- *Gdyby chłopi w Spółdzielniach, czy w PGR-ach zarabiali więcej niż w swoich gospodarstwach, nikt by ich agitować nie musiał, sami by się do tych PGR-ów pchali. Ty ich masz za głupków? Gdyby za zboże w skupie dostawali tyle, ile*

placą im na targu, sami by je nie tylko do skupów, ale do młynów wozili, nawet taczkami.

- Co ty chcesz powiedzieć?

- Że rządzić i kierować gospodarką trzeba umieć, tam na górze i tu na dole i jeżeli ta nowa gazeta będzie tego uczyć, przynajmniej tu na dole, to ja odszczekam wszystko, co o niej powiedziałem. Odszczekam to nawet wówczas, kiedy przynajmniej napiszą prawdę o tych agitatorach.

- Napisali nieprawdę?!

- Prawdę napisali, tylko zapomnieli dodać, co ludzie o nich mówią. Mówią, że się występują partii za lepsze stanowisko, większą płacę, za nowe mieszkanie, a od chłopów wymagają, by oni zadowalali się ideami. Nie ma co, piękny sojusz robotniczo-chłopski. Jeżeli te biedaki z LZS-u dostaną na swój klub tyle pieniędzy, ile M-2 ma na klub „Stal”, to sobie sami piłkę kupią, bez łaski chłopców z miasta. To samo dotyczy kursu kroju i szycia, jeżeli wójt Dębowca dostanie pieniądze na kurs, to się obejdzie bez Domu Kultury M-2. Teraz ty z łaski swojej powiedz, czy to co mówię, nie jest prawdą, czy widzisz w tym coś głupiego?

Od kiedy ty się taką chłopką stałaś?

Od kiedy nam tak autorytatywnie wyjaśniłeś, że podstawą egzystencji w naszym regionie jest rolnictwo, więc się o niego martwię. A jest się czym martwić, bo dopóki robotnikowi w mieście, będzie się Żyło dostatniej i wygodniej niż chłopu na wsi, to chłopci będą woleli być robotnikami w miastach i żadna agitacja tu nie pomoże. Najwyżej do czasu do czasu w ramach „ekipy łączności miasta ze wsią” pojedą, powiedzmy do rodzinnego Dębowca, by pozbiierać ziemniaki, czy wymłócić któryś snopek. Zwróć uwagę, że to mówię ja, głupia baba, a mądrzy, wykształceni redaktorzy nie piszą o tym ani słowa. A ty ich chwal i popieraj.

Nie przekreślaj znaczenia tej gazety, bo jej bezspornym sukcesem jest chociażby fakt, że na ten temat wymieniamy zdania.

Pomyślałem, że taką wymianę zdań pomiędzy mną, a moim bratem rodzice nazywają awanturą, ale na szczęście dla mnie nie zdążyłem uczynić żadnej uwagi w tej kwestii, gdyż zadzwonił dzwonek przy drzwiach.

Sąsiad przyszedł zabrać ojca na ryby i spytał, o co się tak kłóć. Ojciec już spokojnymi tonem wyjaśnił, że o „Głos” i pokazał mu gazetę. Sąsiad ocenił ją najkrócej.

- Piszą w tym „Głosie” o wędkowaniu?

- Raczej nie.

- To zapakuj w niego drań z robakami.

Natychmiast rzuciłem się z odsieczą przynosząc naręcze starych „Trybun”, a uratowany „Głos” staranie poskładałem i schowałem w swojej szafce. Był przecież ewidentnym atrybutem podnoszącym rangę naszego miasta.

CDN...

Jerzy Ruksza. Ma 70 lat. Zawodowo pracował jako konstruktor, kierował laboratorium doświadczalnym, był dziennikarzem. Jego pierwsza książka ukazała się w 1997 roku. Wydał m.in. Prowincjonalny socjalizm, Polityczna edukacja, Człowiek nie stela.

Polityczna Edukacja – „Peerel po cieszyńsku” zajęła pierwsze miejsce w konkursie rozpisany przez Książnicę Cieszyńską pod patronatem Burmistrza Miasta Cieszyna i Starosty Powiatu Cieszyńskiego.

Zapraszamy do lektury pierwszego odcinka pamiętnika, z którego to dowiadujemy się, jakie emocje towarzyszyły wydaniu pierwszego numeru Głosu Ziemi Cieszyńskiej. Kolejne odcinki pamiętnika przeczytacie państwo co tydzień w niedzielę.